


Polacy, Niemcy i drzewa

**A jak będziesz w pierwszym locie,
bliżej nieba, dalej ziemi, nie zapomnij tam, w przestrzeni
nie zapomnij tam, w błękitach
o tym małym skrawku ziemi,
gdzie powstało twoje tycie.**

- Grzegorz Turnau, „Piosenka dla ptaka”

Pochodzę z małej wsi na Pomorzu. Jeszcze całkiem niedawno był to jedyny mój świat, a przynajmniej ten najbardziej mi znany. Z czasem zaczęło mi się wydawać, że moja wieś dziwnie się skurczyła, zapadła w sobie i stała się dla mnie za ciasna. To straszne pomyślałam - nie zobaczyć nigdy innych miejsc, nie poznać innych ludzi. A jeśli tam, daleko, jest ciekawiej?

>Postanowiłam wyjechać. Wtedy jeszcze nie potrafiłam wyobrazić sobie, że już nigdy nie wrócę w  moje strony. Nawet gdybym mogła - nic nie byłoby już takie jak dawniej, nie patrzeć już tymi samymi oczyma.

Dziś, gdy od kilku lat mieszkam na południu kraju, na nowo odkrywam, że centrum mojego świata nadal leży właśnie tam, gdzie się urodziłam i wychowałam. W jakiś sposób tamto miejsce mnie ukształtowało; dzięki niemu w dużej mierze jestem mną. Gdy opuszcza się takie miejsca, z czasem stają się coraz mniej realne i coraz bardziej mityczne. Wielokrotnie kiedy śnię, odwiedzam te same, znajome ścieżki. Być może każdy ma taką swoją krainę szczęśliwości, do której powraca choćby w snach.

Urodziłam się w Pieńkowie; gdy moi rodzice zamieszkali na osiedlu, które nazwano Nowymi Blokami. Oto betonowe klocki z epoki Gierka w mikroskali, przeniesione żywcem na teren wiejski. Ludzie nie musieli już palić w piecach i nosić węgla, mieli bieżącą ciepłą wodę, a także balkony, tak jak w mieście. Budynek gospodarcze zostały postawione w dalszej odległości od osiedla, dla porządku. Niestety, i tak dobiegały nas czasem odgłosy ubijanych zwierząt. Ludzie z Nowych Bloków mogli czuć się inni, lepsi od pozostałych. Jednak dzieci z gospodarstw nieraz z pogardą podkreślały, że jesteście „miastowi”.

Z okna mojego pokoju, które wychodziło na południe, był widok na tartak, stary spichlerz i cmentarz. Do tartaku nieraz przywożono wielkie drzewa i cięto je w dziewiętnastowiecznej poniemieckiej maszynie, której jednostajny, rytmiczny dźwięk słyhać było często do późnego popołudnia. Ten dźwięk budził we mnie niepokój.

Zbierałam kawałki kory, wchodziłam na góry trocin, które wsypywały się pod ubranie i kłuły jak szpilki. Oglądałam równo poukładane, białe deski przeznaczone na podłogi, meble, schody, boazerie. Lubiłam ich zapach. Siadałam czasem na zwałonych pniach buków albo dębów i liczyłam ich słoje. Zastanawiałam się, jak bardzo są stare i skąd je przywieziono.

Niektóre z nich żyły nawet ponad sto lat przede mną. Były tak stare, jak drzewa w pobliskim Parku, gdzie znajduje się Pałac.

Nad wejściem do rezydencji do dziś widnieje podziurawiony od kul herb dawnych właścicieli. Ta rodzina musiała być bardzo bogata. Mieli pewnie piękną córkę. Ta córka nie musiała chodzić do szkoły i całymi dniami jeździła konno po Parku, albo zrywała kwiaty i spacerowała z psami. Zapewne z okazji jej urodzin posadzono magnolie, z których w maju opadały białe płatki.

Najtrudniej było wymyślić zakończenie tej historii - co dalej się z nimi stało? Ponoć zabili ich Niemcy - wówczas wyobrażałam sobie, że tylko oni byli przyczyną wszelkiego zła. Oczywiście też dla mnie było, że w Pałacu musieli mieszkać Polacy. Może jednak udało im się uciec i ukryć skarby? W poszukiwaniu skarbów odkryliśmy strych Pałacu. Należało przemknąć się przez długi korytarz, gdzie mieściły się mieszkania, następnie cicho podważyć hak i otworzyć drewniane drzwi, aby wspiąć się po stromych, skrzypiących schodach na górę.

Strych był ogromny, podzielony jedynie kominami. Przez małe okienka w pochylonym dachu wpadały snopy światła i kurzu. Zamiast skarbów znaleźliśmy stary dziecięcy wózek, suszące się pranie i coś, co przypominało kopię rycerską.

Za to prawdziwym skarbem był widok z okna - na Park, jezioro bocianie gniazda. Z tego okna prowadziłam obserwacje bocianów - w rubryki wpisywałam daty złożenia jaj i wylęgu piskląt. Pałac, Park i jezioro były terenem niezliczonych wypraw i najprzeróżniejszych zabaw. Z dumą oprowadzałyśmy z siostrą naszych kuzynów i przyjaciół z miasta pokazując im różne zakamarki. Tak zresztą dzieje się do dziś w moich snach - pokazuję to miejsce moim nowym znajomym.

Do Parku wchodziło się przez dziurę w płocie - jak do wielkiego, zielonego wigwamu. Liście drzew tworzyły dach, który niemal nie przepuszczał światła. Wzmagały się zapachy, wydłużały cienie. Nikły nagle odgłosy dobiegające z ulicy i okolicznych domostw, nad naszymi głowami latały nietoperze. Znajdowaliśmy się w królestwie starych drzew. Dookoła rozlegały się dziwne szelesty i pomruki. Nigdy nie byliśmy sami. Nasza obecność była wyraźnie zauważona. Szło się ścieżkami wąskimi, cicho, bezszelestnie, ze wzrokiem wyostrzonym, z sercem mocniej bijącym. Na małej polanie rósł płaczący buk - jego opadające w dół gałęzie przypominały długie włosy. Stary dąb usychał i opadał z kory, a jednak swoją wielkością wzbudzał szacunek. Niektóre drzewa uszkodził piorun, inne przewracały się tworząc wykroty. W samym środku Parku rosły trzy wielkie buki, które wyglądały jak Entowie z tolkienowskich baśni - ich wielkie srebrne cielska tuż przed zmrokiem przybierały niesamowite kształty. Nazwałam je Trzema Braćmi - strażnikami Parku. To właśnie przy nich najdłużej się zatrzymywałam podczas samotnych spacerów. Nigdy nie czułam się bardziej bezpiecznie niż w ich towarzystwie, kiedy siadałam nisko, tuż przy ziemi i opierałam głowę o ich grube pnie. Wsłuchiwałam się w ich ledwo domyślną mowę, a czas przestawał istnieć. Park nieustannie zmieniał swoje oblicze pozostając jednocześnie niezmiennym.

W porównaniu z betonowymi, szarymi blokami w pegeerowskim osiedlu, gdzie mieszkałam, Park, Pałac i jezioro stanowiły zupełnie inną przestrzeń, bogatą i pełną tajemnic. Dlatego, że nie znałam historii Pałacu i jego otoczenia, ich istnienie tłumaczyłam w magiczny sposób.

Ciągle trudno jest mi uwierzyć, że tak w sumie niewielkie miejsce może dostarczyć tylu wrażeń! Jestem pewna, że nie tylko ja miałam okazję tego doświadczać.

Drugie okno naszego mieszkania w Nowych Blokach wychodziło na Północ, tam, gdzie rośnie Wielki Dąb. Gdyby wejść na jego wierzchołek, można by zapewne zobaczyć morze - kilka kilometrów stąd. Niestety, nad morze nie można dojść przez pola, bo dalej, wzdłuż jego brzegu rozciąga się poligon wojskowy. Co roku latem nad wsią rozbrzmiewają odgłosy „wojny na niby” a nad polami błyskają białe i czerwone rakiety. Pięknie je widać, gdy płynie się nocą w jeziorze.

Wojna w jakiś sposób towarzyszyła mi od dzieciństwa (pomijając nawet serial „Czterej Pancerni...”). Codziennie przechodziłam obok cmentarza, na którym jest grób nieznanego żołnierza. To był żołnierz radziecki, który, brał udział w wyzwoleniu naszej wsi i przepędzał Niemców. Groby Niemców najpierw zostały rozbebeszone, potem zarosły chaszczami, a dziś nie ma po nich śladu. Ich groby były też na końcu ogródków działkowych. Pamiętam je już zapadnięte, porośnięte mchem. Był nawet pomysł, aby nagrobki przeznaczyć na budowę drogi, ale z niego zrezygnowano.

Kiedyś przywłaszczyłam sobie mosiężną literę z niemieckiego nagrobka. Omijałam cmentarz z duszą

na ramieniu w obawie przed zemstą ducha właściciela owej litery R. Później litera trafiła do pudełka na nici.

Jeszcze na początku lat 50-tych większość mieszkańców wsi mówiła po niemiecku. Zaraz po wojnie Rosjanie wykorzystywali Niemców jako tanią siłę roboczą do prac rolnych. Zdarzało się nawet, że Polacy i Niemcy przez kilka lat mieszkali pod jednym dachem. Pierwsi - świeżo przesiedleni z ziem wschodnich, drudzy - mający nadzieję, że mogą tu zostać. Nadal stoją we wsi poniemieckie domy z czerwonej cegły, jest droga w kocie łby i spichlerz. Są dawne stajnie (pamiętam jeszcze kilka koni i stare bryczki), jest wreszcie Pałac, Park i jezioro. O jeziorze krążyły legendy, że Niemcy uciekając zatopili tam swoje skarby a nawet czołgi. Bałam się Niemców, lecz z drugiej strony chciałam wiedzieć o nich więcej, wszyscy jednak unikali tego tematu. Mówiło się, że jeszcze wrócą i upomną się o swoje. Te obawy wciąż są aktualne wśród wielu mieszkańców wsi.

Kto był właścicielem Pałacu? - nikt nie wymieniał tego nazwiska aż do końca lat 80-tych. Wtedy właśnie przyjechał do wsi ktoś z rodziny von Below, aby zobaczyć być może po raz ostatni - miejsce, skąd pochodzi jego ród. Pytał o grób Hansa Schach von Wittenau, jego żony Sybilli i teściowej Ewy von Below, ostatnich rezydentów Pałacu. Ówczesny dyrektor POHZ (Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej), który oprowadzał gościa, nie potrafił wskazać tego miejsca. Od najstarszych mieszkańców Pieńkowa (przed wojną Pennekow) dowiedział się, że Hans, Sybilla i Eva zostali pochowani na skarpie, tuż nad jeziorem. A historia była tragiczna: Kiedy w 1945 roku na skraj wsi podeszli Rosjanie, ogrodnik Schwichtenberg pobiegł z ostrzeżeniem do Pałacu. Na wieść o zbliżających się Rosjanach Hans Schach von Wittenau zastrzelił swoją żonę, teściową, a na koniec samego siebie. Podobno w tym samym czasie na pobliskim polu wylądował samolotem ich syn, który służył w wojsku niemieckim, ale nie zdążył ich uratować.

Ciała nieszczęśliwych czerwonoarmistów wyrzucili na pałacowe schody i dopiero po kilku dniach pozwolili miejscowym zagrzebać w ziemi.

Ród von Below należał do najznamienitszych na Pomorzu i ma bogatą historię. Szczególnie zasłynęli trzej bracia: Karol, Gustaw i Henryk, którzy w początkach XIX w. stworzyli intrygujący ruch religijny, liczący w latach 30-tych 1400 osób. Najmłodszego Henryka Biblia olśniła, gdy leżał na sofie w Pałacu - od tej pory odrzucił hulaszczę życie, zaczął bratać się z prostym ludem i modlić z parobkami.

Zerwał z

oficjalnym Kościołem w wielkanocny poniedziałek 1820 r. Belowianie sami zaczęli udzielać sobie sakramentów, w Pałacu mieściła się podobno sala modłów. W moim dzieciństwie w tej sali odbywały się zabawy choinkowe, konkursy recytatorskie i turnieje szachowe.

Na początku lat 90-tych w prasie Ukazywało się coraz więcej artykułów o pomorskich rodach i ich siedzibach: o tym, że uważali się oni nie za Niemców, lecz za Pomorzan. Niektórzy z nich (jak np. ród von Zitzewitz) potrafią udokumentować swoją obecność na tych ziemiach sięgającą 600 lat wstecz. Ci, którzy zdecydowali się przyjechać po latach, najczęściej zastawali ruiny swoich dawnych posiadłości, bądź puste miejsce po nich. Rosjanie puścili wszystko z dymem, a niektóre zamki zostały rozebrane (przy okazji do końca rozgrabione) w czynie społecznym po wojnie. Często ocalały stare, piękne parki. Zdarzało się jednak, że drzewa, które przeżyły wiele wojen w ciągu kilku wieków, nie wytrzymały gnojowicy wylewanej wprost na pegeerowskie pola znajdujące się w pobliżu i umierały.

Pałac w Pieńkowie miał sporo szczęścia. Zaraz po wojnie służył Rosjanom. W latach 70-tych i 80-tych mieszkali tam pracownicy oraz dyrekcja PGR-u i POHZ. Inne pomieszczenia przeznaczone zostały na biura, stołówkę oraz Gminny Ośrodek Kultury.

Kiedy przyjechałam tam w 1995r, tuż przed wyprowadzką mojej rodziny, dowiedziałam się, że Pałac oraz Park i jezioro znalazły nabywcę z Warszawy. Nikt już nie wchodził do Parku w obawie przed

psami nowego właściciela.

Zrozumiałam, że jakaś część historii się kończy. Park, który należał do tej pory do wszystkich, stał się nagle własnością jednego człowieka, który przybył z dalekiej stolicy.

Byłam bardzo zaniepokojona przyszłym losem drzew. Odwiedziliśmy Konserwatora Przyrody w Słupsku, gdzie zapewniano nas, że Pałac wraz z Parkiem jest uznany za zabytek i objęty ochroną, i że bez zgody Konserwatora obecny właściciel nie może dokonywać poważniejszych zmian.

Chciałam przeprowadzić wywiad z właścicielem do lokalnej gazety, ale zastaliśmy tylko opiekuna rezydencji. Od niego dowiedzieliśmy się, że nabywca Pałacu interesuje się jego historią, przywraca jego wnętrzu dawny wygląd i podobne plany ma wobec Parku. Artykuł po tym spotkaniu ukazał się wkrótce w miejscowym „Szepcie Postomina”. To wszystko, co mogłam wówczas zrobić.

Mój kontakt z tym miejscem urwał się na długo. Jednak przez cały ten czas, odkąd mieszkam na południu Polski, wielokrotnie miałam ten sam zły sen: chcę komuś pokazać Park, ale zamiast niego zastajemy odsłoniętą przestrzeń i kikuty po wyciętych pniach drzew.

Latem 1998 roku przyjechałam, aby zrobić kilka zdjęć. Pozwolono nam wejść na teren Parku.

Byliśmy zachwyceni, jak pięknie zdziczał, jak bujnie zarósł bluszczami; niektóre ścieżki były już nawet nie do przebycia. Okazało się, że nie tylko ja powracam w to miejsce. Dowiedzieliśmy się, że odwiedzają je na przykład ludzie, którzy jako dzieci byli tutaj na koloniach. Większość slajdów była zbyt przyciemniona - w Parku panował półmrok. Najwyraźniejszy z nich przedstawia Pałac, przed którym wycięto już magnolię.

Kiedy wiosną 1999 roku stanęłyśmy z siostrą nad brzegiem jeziora, poczułam, że nogi uginają się pode mną. Drzewa wokół zostały wyraźnie przerzedzone. Kiedy weszłam trochę dalej, w głąb Parku, zobaczyłam duże ścięte drzewo. Usłyszałam szczekanie psów i postanowiłam zawrócić.

Żałowałam, że mieszkam tak daleko i nic nie mogę zrobić. Może właściciel przywraca Parkowi jego dawny wygląd?

Znajoma rodziców, która mieszka w pobliżu, potwierdziła ostatnio, że często słyszy, jak pracują piły. W Pałacu powstał hotel, mieści się tam siedziba firmy. Nie wiem, czy jeszcze będę miała odwagę znów tam pojechać.

Tekst ten dedykuję wszystkim Strażnikom Miejsc Przyrodniczo Cennych i życzę im, aby nigdy nie było za późno...

Aneta Szymczyk

Historia Pomorza Środkowego wciąż czeka na swoich odkrywców. Na swoich odkrywców, opiekunów i strażników czekają również cenne przyrodniczo miejsca - pięknie zdziczałe po pałacowe parki idealnie nadające się na parki ekologiczne czy też lokalne rezerваты przyrody.

B. Sz.